№ 20 (351) WARSZAWA 15 grudnia 1925 R. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem ROK XVIII



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO ZWIĄZKU P.K.O. 8082 ADRES: NOWY-SWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

Nr. 20 (351) Warszawa, dn. 15 grudnia 1925 r. Rok XVIII.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Wychodzi dwa razy miesięcznie: 1-go i 15-go.

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł, kwartalna — 6 zł. Numer pojedyńczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona — 80 zł., pół — 50, ćwierć — 30, 1/8 — 16, 1/16 — 10. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej



„RABUŚ".

OD REDAKCJI.

Z dniem 1-ym stycznia r. p. rozpoczniemy druk monografji żubra p t. „Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość", pióra naszego redaktora, p. Jana Sztolcmana. Praca ta ukazała się w roku 1924 w języku francuskim p. t. „Matériaux pour l'histoire naturelle et pour l'historique du Bison d'Europe (**Bison Bonasus** Linn.) w tomie II im „Prac Zoologicznych Polskiego Państwowego Muzeum Przyrodniczego" i cieszy się wielkiem uznaniem za granicą, czego dowodem są liczne listy, jakie autor otrzymał z różnych krajów Europy, a nawet ze Stanów Zjednoczonych i z Tunisu, a w № 2667 publikacji paryskiej „La Nature" (z d. 16 maja 1925) znajdujemy artykuł p. P. A. Remy, p. t. „Une espéce qui se meurt: Le Bison d'Europe", w którym autor daje liczne cytaty z pracy p. Sztolcmana.

Od Wydawnictwa.

Od dnia 15 bm. urzędy pocztowe zaczną przyjmować prenumeratę na dzienniki i czasopisma, co w zasadzie będzie znacznem udogodnieniem dla Szan. Prenumeratorów. Ponieważ jednak, zwłaszcza w początkowym okresie tych zmian może aparat pocztowy funkcjonować mniej sprawnie, prosimy Szan. Prenumeratorów o bezpośrednie wczesne wnoszenie należności za prenumeratę na 1926 r., na konto czekowe P. K. O. Nr. „80-82. Centr. Zw. P. Stow. Łow". Przekazy załączyliśmy do poprzedniego numeru.

ZAŁĄCZNIKI.

Do numeru niniejszego załączamy kwestjonarjusz Małopolskiego Tow. Łow. oraz „Spis rzeczy" „Łowca P." za r. 1924. Takiż spis za r. 1925 załączymy do następnego numeru.

JÓZEF ŻARNOWSKI.

Dzierżawa łowisk a gospodarka łowiecka.

Z wielką niecierpliwością oczekuje łowiectwo polskie poprawy swoich warunków. Okres bowiem zawieruchy wojennej, ten okres grabieży i niepokoju, i w łowiectwie pozostawił na długo niezatarte niszczycielskie swe piętno.

Obecnie gdy jesteśmy już od kilku lat gospodarzami sami u siebie, gdy już przeprowadzone zostały najważniejsze sanacje, poczawszy od finansów państwa, a skończywszy na kasach gminnych, gdy wydano tyle ustaw, rozporządzeń i przepisów, tak, że obecnie Pomorzanki nie mogą gdańskiej czekolady zajadać, a urzędnicy państwowi za granicę wyjeżdżać, należałoby i o naprawie naszego łowiectwa pomyśleć.

Obowiązujące bowiem dotychczas przeróżne ustawy i przepisy państw zaborczych, nie odpowiadają obecnym warunkom i stosunkom powojennym, w jakich łowiectwo nasze się znajduje.

Przedstawię tutaj w krótkości sposób wydzierżawiania gminnych terenów łowieckich; mógł on być dobrym za czasów przedwojennych, gdy z jednej strony było poszanowanie praw, a z drugiej strony odnośne władze z skrupulatną ścisłością czuwały nad ich wykonaniem, a każde najmniejsze uchybienie przepisom łowieckim było surowo karane.

Po myśli par. 21 pruskiej ustawy łowieckiej z dnia 15.7.1907 wydzierżawienie terenu łowieckiego załatwia naczelnik łowiectwa, to jest zwierzchnik gminny (sołtys lub burmistrz), który sprawuje interes spółki łowieckiej.

Obserwując tutejsze stosunki od kilku lat, objaśnię ten właśnie sposób wydzierżawiania, który według niemieckego „Jagdverordnung" (Brauchitsch Tom IV str. 345) dzieli się na dwa rodzaje, a mianowicie:

1) wydzierżawienie w drodze publicznego przetargu

2) wydzierżawienie tylko między członków gminy bez udziału zamiejscowych (dowody przesłałem Redakcji).

O ile przetarg jest publiczny, to jeszcze przy sprzyjających okolicznościach, może być tak teren uratowany dla dobra sprawy łowieckiej; znajdzie się bowiem zawsze jakiś racjonalny myśliwy lub stowarzyszenie łowieckie albo właściciel ziemski, jako najbliższy sąsiad owego terenu i ci starają się niedopuścić aby takie łowisko dostało się w niepowołane ręce. Lecz niekiedy bywa i przeciwnie; miejscowi domorośli myśliwi, mając od uczestników spółki łowieckiej (których większe powierzchnie ich działu wchodzą w skład danego obwodu) zapewnione zrzeczenie się podziału z kwoty dzierżawnej, licytują do niezmiernie wysokiej kwoty, byle tylko nikogo niedopuścić.

W wypadkach, gdy miejscowi, w publicznym przetargu muszą na rzecz spółki łowieckiej dzierżawne uiścić, to wówczas teren dzierżawiony dzielą między siebie na partje, tak, że każdy w swojej części na swój sposób prowadzi niszczycielski proceder, aby wydatek dzierżawny powetować.

Oprócz tego wspomniane wyżej przepisy łowieckie dozwalają naczelnikowi łowiectwa wybrać sobie jednego z trzech najwięcej ofiarujących (nie uwzględnia się tu kwalifikacji łowieckich). Nasze towarzystwo łowieckie chcąc wydzierżawić jakiś odpowiedni teren, było zmuszone wysyłać na taką ceremonję 3-ch członków, z których każdy zosobna na swoją rękę licytował, utrzymując się jako trzeci najwięcej dający.

Zazwyczaj wybór nabywcy nie idzie po linji łowiectwa, lecz kieruje się względami natury materjalnej spółki łowieckiej. A przecież pewne odchylenia dla idei łowiectwa powinny być uwzględnione.

Wprawdzie każda umowa dzierżawna powinna być zatwierdzona przez władzę nadzorczą (starostwo), lecz przy tem bierze się pod uwagę tylko względy formalne co do ważności danego kontraktu, a nie uwzględnia się, czy wynajmujący posiada najważniejsze wiadomości łowieckie, zna terminy ochronne i t. p.

Skutki takiej gospodarki są zastraszające. Tam gdzie miejscowi gospodarze są dzierżawcami terenów łowieckich, uprawia się zasadniczo polowanie na tak zwane „stanowisko" czy „zasiadkę". Gdzie tylko jest kawał lasu, a teren gminny do niego przylega, tam wykopuje się „kule" czyli doły i nad wieczorem lub rankiem urządza się skrytobójcze zasadzki na wychodzącą zwierzynę. Jak każdemu myśliwemu wiadomo, pierwsze, jako mniej ostrożne, wychodzą z lasu na żer samiczki i one to padają masowo ofiarą ukrytych dwururek. Pada niejeraz sarna, a nawet i koźlę. W październiku i listopadzie, gdy tylko ściemniać się zaczyna, rozlega się wokoło formalna kanonada, jakby na jakiś bój wojenny zanosić się miało. We dnie uprawia się na takich terenach polowanie na „szukanego" czyli na pomyka, który to rodzaj polowania jest bardzo dla łowiectwa szkodliwy.

gdyż ofiarą padają również zazwyczaj samice, które twardziej dosiadują w kopnie i łatwiej zbliska dają się podejść, aniżeli samce.

Dlatego to z roku na rok na takich terenach szybko zmniejsza się stan zajęcy, bo samice wybite w jesieni, a ta mała ilość, która pozostanie i przetrwa do wiosny, jeszcze się zmniejsza wskutek anormalnego stosunku samic do samców. W czasie bowiem parkotów, za samicą biega zawzięcie po kilka gachów, w następstwie czego z umęczenia niekiedy samica pada, lub wskutek nadmiernego używania dostaje na organach rozrodczych wrzodów, osłabia się i staje się niezdolną do wydania potomstwa.

Miejmy nadzieję, że nowa ustawa, której projekt gdzieś w dolnych szufladach ministerjalnego biurka nabiera „amtskraftu", będzie oparta na zdrowych zasadach, zastosowanych do podźwignięcia naszej, bardzo podupadłej gospodarki łowieckiej.

Starogard w kwietniu 1925.

Przyp. Red. Poniżej dajemy dowody, o których sz. Autor wspomina.

Wydzierżawienie polowania gminy Rzeżec'n. odbędzie się dnia 28 marca br. o godz. 4 po poł. w lokalu p. Gajewskiego tylko dla miejscowych.

Przedzierżaw. polowania gminy Wysoka odbędzie się we wtorek, dnia 10 marca o godz. 4 po po. w oberży p. Platowej w Wysoce.

Przetarg tylko dla miejscowych w gminie.

Stobba, sołtys.

JAN MORSTIN.

Myśliwy — Strzelec — Kłusownik.

(Zob. Nr. 1).

(Przypisek redakcji). Przerwa tak długa w druku cennej i zajmującej pracy p. Jana hr. Morstina nastąpiła nie z winy redakcji.

Kozioł dał kilka susów, poczem przystanął, oszołomiony, nie wiedząc widocznie, skąd mu grozi niebezpieczeństwo. Władek stropił się zupełnie. Wszystkiego raczej mógł się spodziewać. Miał wrażenie, że strzelił pustym nabojem, jak ongi przed laty, gdy mu źle założony patyk wypadał z dziecinnej fuzyjki. Dopiero gdy rogacz wolnym truchtem ruszył ku olszynom, oprzytomniał nagle, i szybko, z przyrzutu palnął w znikającą w gąszczu rdzawą sylwetkę. Czuł, że pudłuje jeszcze sromotniej, niż za pierwszym razem. Płonąc ze wstydu, drżącemi rękoma wyjmował łuski ze sztuceru („z obrzydliwego gruchotu, z którego trafić niepodobna"), a pan W. strofował go tymczasem bezlitośnie:

„Któż tak strzela? Mierzysz godzinę i chciałbyś, żeby ci ręce nie latały! Pierwsze pudło pewne, chyba że druga kula przypadkiem siedzi; trzeba pójść zobaczyć".

Władek bynajmniej nie podzielał tego przypuszczenia, ale wiedział, że ojciec nie ustąpi, dopóki dokładnie nie sprawdzi strzału. Tak było zawsze, nawet gdy chodziło o wróbla, tak musiało być i obecnie. Pełen rezygnacji, bez żadnej wiary w pomyślny rezultat poszukiwań, szedł za ojcem z miną skazańca wiedzionego na rozprawę.

Chlupiąc w zimnej jak lód wodzie, zbryzgani rosą, przedzierali się przez gąszcz, bacznie rozglądając się dookoła. Nagle chłopiec stanął jak wryty.

Poprzez sploty gałęzi, za bielnistą kępą dostrzegł podłużną, rdzawą plamę. Czyżby to był on?... Ze stłumionym oddechem, nie śmiąc postąpić naprzód stał zahypnotyzowany tajemniczym kształtem. Usłyszał zbliżające się kroki ojca. „Idzie prosto na niego — pomyślał — zaraz go zobaczy" i czekał pełen nieopisanego wzruszenia na okrzyk pana W. zwiastujący o tryumfie. Ale oto ojciec już dochodzi do kępy, już ją mija!? — „Zobaczył napewno, tylko chce, żebym sam znalazł" — pocieszał się jeszcze i nie mogąc dłużej znieść niepewności, ostrożnie ruszył ku „plamie". Wtedy dopiero odezwał się pan W.:

— „To ty tutaj szukasz? idź że więcej na lewo!"

— „Kiedy tu, obok kępy, Tatusiu... coś jakby"

— „Kłoda spróchniała".

To były straszne słowa. Rozczarowanie boleśniejsze niż chybione strzały, bo niweczyło ostatnią

MAURYCY HR. POTOCKI.

Wspomnienia z toków wiosennych.

(Dokończenie).

(Zob. Nr. 19).

Nikt z nich nie dał strzału. Morstin spadł z kładki i skąpał się cały, a owe dwie wiorsty w 5 się zmieniły. Dowiedziawszy się, że nie w lepszym muszę być humorze, nie budząc mnie, kładą się spać. Kruszewskiego nie widać, więc polecają mnie zbudzić, o ileby do 8.30 się nie zjawił.

Budzi mnie wzburzony głos naszego 4-go towarzysza. Budząc się, czuję, że coś się stało. Siadam na ławie, przecieram oczy. Kruszewski biega po pokoju i coś opowiada „Mało brakowało, a Bogu należy dziękować że mnie żywego widzicie".

Powoli dowiadujemy się o przebiegu całej przygody. Tok ranka tego był słaby. Koguty parę razy, bez widocznej przyczyny z tokowiska odlatywały, jakby płoszone. Długo nie wracały i wogóle zachowywały się nienormalnie. To też ubiwszy tylko jednego, o godz. 6 rano, począł Kruszewski szukać dwuch postrzałków. Nie mogąc ich znaleźć, zabrał burkę, sztucerek (5mm jedno-strzałowy) i zabitego koguta i poszedł w kierunku furmanki. Tok „Bierystrow" jest małą polanką, otoczoną z trzech stron błotami, a z lasem suchym łączy się wązkim przesmykiem. Na tym półwyspie, przy samym owym przesmyku, znajduje się niewielki sosnowy bór, za przesmykiem zaś ciągną się niezarosłe wrzosowiska. Gdy Kruszewski minął przesmyk, z sośniny za nim padł strzał. Obejrzawszy się, ujrzał jegomościa w półkożuszku, który strzelił ponownie. Stał on o jakie 150 kroków od niego. W pierwszej chwili myśląc, że ma do czynienia ze mną chciał zawołać, lecz krzyk zamarł na ustach. Człowiek ów bowiem starannie mierzył do jego osoby, a opodal drugi czynił to samo! Nie było chwili do stracenia z małym jednostrzałowym sztucerkiem szaleństwem było zaczynać walkę z dwoma bandytami, uzbrojonymi w karabiny. Kruszewski rzucił się do ucieczki posypały się za nim strzały złoczyńców. Porzucił burkę i koguta, lecz strzały nie milkły. Poczuł, że coś mu odrzuciło w bok rękę. Dopadł do wozu. „Czto heto, pane?", pyta przerażony woźnica. „Bandity" i razem pędzą dalej. Po chwili widzi Kruszewski, że ucieka sam, ogląda się. Chłop stoi i głośno zawodząc „Ach koni, moi koni", załamuje ręce. Nareszcie towarzysz nasz dopada do zarośli; strzały ucichły. Zapędzając się w największą gęstwinę, łapie z trudem powietrze zdyszaną piersią, jest cały, ale prawda, ręka, kurtka krwią poplamiona, ale postrzał iście szczęśliwy: kula zlekka nacięła skórę

rozbłysłą na chwilę nadzieję. Gąszcz olszynowy rzedniał, otwierając widok na piaszczysty wzgórek. Niebawem też dostrzegli świeży ślad szeroko, w szybkim pędzie rozstawionych raciczek.

„Farby ani kropli — spudłowany na czysto" — zawyrokował ojciec i widząc zrozpaczone spojrzenie chłopca, dodał: „To nic Władku, każdemu zdarza się pudło, nie o to chodzi. Dużo większej sztuki dokazałeś, podchodząc go na strzał. To jest twój pierwszy, prawdziwy sukces myśliwski. To też w nagrodę za to powierzam od dziś dnia cały ten rewir twojej wyłącznej opiece, z prawem polowania na wszelką zwierzynę, ale pod warunkiem, że będziesz ją równocześnie ochraniał i hodował bo kto tego nie umie i nie lubi, żeby bez pudła strzelał, nigdy na miano myśliwego nie zasłuży. A nie zrób mi zawodu, pamiętaj!"

W pierwszej chwili coprawda, obietnica ojca niezbyt Władka pocieszała. Był zanadto przygnębiony haniebnem pudłem zanadto rozgoryczony na siebie i na cały świat, by zdać sobie sprawę z wartości ojcowskiego uznania i przyrzeczenia. Cały dzień do wieczora chodził nawpół przytomny, milczący jak grób, rzucając raz po raz wściekłe spojrzenia na głównego winowajcę — nieszczęsnego Springera.

Ale nazajutrz rano, gdy szedł na obchód „swego" rewiru i wraz ze starym Józefem wybierał miejsca dla lizawek, paśników i dla ambonki, już mu się oczy śmiały szczerym zapałem i dumą.

Cierpliwość gajowego wystawiona była na ciężką próbę. Każdy przyjazd chłopca z miasta rozpoczynał nowy okres nieprzerwanych pytań, dochodzeń debatów i projektów. Z przesadną gorliwością, cechującą jego wrażliwą i egzaltowaną naturę, poświęcał Władek wszystek wolny czas swemu rewirowi. Gdyby nie kontrola pana W., byłby doszedł, kosztem szkółek i plantacji leśnych, do absurdalnej ilości pólek hodowlanych a paśniki i lizawki znajdowałyby się co kilkanaście kroków.

Za podstawę do owych poczynań Władka służyły mu wyborowe dzieła myśliwskie z biblioteki ojca. Książki te, przeważnie niemieckie, zawierające znane i ukochane od najmłodszych lat, znakomite ryciny obecnie, gdy chłopiec, aczkolwiek nie bez trudności, zaczął przenikać w ich treść, stały się jego wyrocznią. Diezel, Raesfeld Sylva — Tarouca — to byli wielcy, genjalni ludzie, których jedno słowo było więcej warte, niż księgi wszystkich klasyków świata razem wziętych. Dopiero po zapoznaniu się z nimi Władek przyznał, że rzeczywiście warto uczyć się niemieckiego języka i ze zdumiewającą pilnością jął „kuć" słówka i zwroty specjalnej gwary myśliwskiej.

Niestety, lasy pana W., a temmniej rewir Władka nie mógł rywalizować z Romintenu lub Schorsheide! *) Zamiast wspaniałych rykowisk — nieliczne, przechodnie jelenie; zamiast setek dzików — przypadkowo, raz na kilka miesięcy otropiony pojedynek. Ale zato jakże wielkie było zadowolenie, gdy udawało się sprawdzić po śladach, że przynęcona marchwią i kasztanami chmara w ciągu kilku dni pozostawała w rewirze. A gdy jelenie wychodziły, chłopiec liczył ze wzrastającym niepokojem dni i noce do chwili ich powrotu. Czy aby wszystkie wrócą? Czy kula sąsiada nie powali wielkiego tak dobrze z tropów znanego byka? Widział go nawet raz przez lornetkę ze swej ambonki, jak stał na linji leśnej w niewytartym jeszcze, ale wspaniałym wieńcu. Byleby się przechował szczęśliwie do ferji Bożego Narodzenia, a wtedy może za łaską św. Huberta?... Lecz oto w połowie sierpnia pojawiły się niespostrzegane dotąd jelenice. Niemal co rano Władek i gajowy znajdywali na zrębie świeże ślady byka i trzech łań. Przychodziły w nocy prawie zawsze tymsamym przesmykiem, by przed wschodem słońca wyjść z granic majątku. Nie było więc innego sposobu, jak sporządzić naprędce czatownię na drzewie i wyczekiwać ich przejścia. Do ostatecznego terminu wyjazdu do szkół pozostawało jedenaście dni.

O drugiej po północy, zbrojny w sztucer ojca wychodził Władek z domu, by jeszcze przed brzaskiem zasiąść w swej zasadzce. Szedł raźno, wybierając mimo ciemności skracające drogę polne ście-

*) Sławne tereny myśliwskie cesarza Wilhelma II.

---

na stawie dużego palca, prześlizgując się między ręką a udem. Psiakrew! Poleskie polowanie. Zakrapiamy wódką tę niemiłą przygodę.

Po niejakim czasie zjawia się furmanka wraz z woźnicą i policjantem. Woźnica uciekł w przeciwnym kierunku, do wsi Stare Sioło. Stamtąd w towarzystwie posterunkowego wrócili na miejsce napadu. Konie stały w tem samem miejscu, jeno z woza wszystko zabrano: chleb, słoninę, garnek i kartofle. Przy przesmyku leży porzucony kogut, burka zabrana. Następuje spisywanie protokółu jaka mogła być wartość burki? Czy bandyci biegli prędko, czy wolno? Komorowski radzi napisać, że jeden galopem z lewej nogi, drugi drobnym kłusem!

Popołudniu przybywa komendant gminnego posterunku z Berezowa, komendant ze Starego Sioła nowe protokóły.

Wobec faktów powyższych, nie mogąc ryzykować życia mych towarzyszy, decyduję przerwać naszą wyprawę i w głąb rejonu, zarezerwowanego przez bandytów, nie zagłębiać się. Korci nas to, coprawda, ale zdrowy rozsądek zabrania zbędnego ryzyka. Zresztą wszystkie furmanki odmawiają posłuszeństwa. Żaden do lasu nie pojedzie i chcą wracać do domów. Posyłam do innej wsi, by nas jutro odwieźli do Józefina.

Wieczorem wyruszam sam na głuszce. O 8 kilometrów jest b. piękny tok, którego niepodobna zostawić. Śpimy ze wszelkiemi ostrożnościami. Rano słyszę 8 kogutów, z których jednego ubijam. Trzeba będzie mimo wszystko tu powrócić. Nazajutrz ubywa z naszego grona Kruszewski, który syt wrażeń, mając na rozkładzie 3 głuszce, 3 cietrzewie i jedną słonkę, wyjeżdża do Mańkiewicz. Morstin, który miał również jechać, po namyśle decyduje pozostać. Św. Hubert mu to wynagradza, gdyż odrazu, w ranek bardzo wietrzny zabija bardzo szczęśliwie głuszca, a po nim z budki cietrzewia.

Decydujemy powrócić w okolice Drozdina. Na bandytów robią obławę, więc napewno się przenieśli gdzieindziej, zresztą spróbujemy się. Wieczorem d. 27 kw. stajemy na toku „Kunin", o którym już wspominałem. Przedstawia się on bardzo ciekawie. Przed pięknym sosnowym lasem, z brzegu suchym, głębiej w błoto się zmieniającym, przeciąga, kroków 100 szerokości mająca, polanka. Stojąc nad jej brzegiem z wieczora słyszy się kolejno po tamtej stronie zapadające głuszce. To też, ruszamy rano we trójkę. Morstin w prawy kraniec. Komorowski w środek, ja obieram koguta, grającego na skrajnem lewem skrzydle. Ranek ten przyniósł bardzo ciekawe spostrzeżenia, jak łatwo pomylić się w nocy co do dystansów. Zagłębiłem się w las w miejscu, o 140 kroków odległem od punktu, gdzie to uczynił Komorowski. Słyszałem, że na prawo odemnie, gra głuszec. Od głuszca tego winien być b. blizko mój sąsiad, lecz słyszę że go mija i idzie do głębiej grającego. Gdy już jestem pod moim i cze-

żyny; zdarzało się, że mylił ślad i wówczas brnął na przełaj przez świeże podorywki, przez mokre od rosy koniczyny, ślizgając się i potykając co krok byle tylko w porę zdążyć na miejsce czatów.

Nie wiodło mu się jednak. Dziewięć nocy minęło nadaremnie. Raz wprawdzie „czwórka" przechodziła blisko ale tak wcześnie, że tylko nikle sylwetki można było dojrzeć i o strzale nie mogło być mowy. Za drugim razem sam pokpił sprawę. Było już jasno, lecz nieostrożny ruch — szmer na ambonce spłoszył przodującą łanię i sztuki cofnęły się w porę.

Nadeszła dziesiąta, przedostatnia noc. Wietrzna, dżdżysta, w którą, jak mówią psa by z domu kijem nie wypędził; toteż pomimo wszelkich perswazji i zaklinań pan W. stanowczo wyprawy do lasu zabronił.

Chłopiec posłusznie się położył, próbował zasnąć, ale oka nie mógł zmrużyć. Co chwila wstawał, wyglądał przez okno, w nadziei, że deszcz przestanie padać i że można będzie obudzić ojca, by wyprosić pozwolenie.

Zbliżała się godzina wymarszu. Mimo niesłabnącej zawieruchy, mimo wyraźnego zakazu — nie mógł się oprzeć pokusie. Cicho, jak kot wymknął się z domu i po chwili zmoczony do nitki, smagany wiatrem zasiadł w swej czatowni z niezłomną wiarą, że dziś, właśnie dziś będzie strzelał. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu to od samego wieczora. Siedział więc bez ruchu, skulony, ze sztucerem starannie okrytym ojcowską peleryną. Godziny wlokły się okrutnie powoli. Zdawało się, że noc nie skończy się nigdy, a gdy wreszcie ciemności rozpraszać się poczęły, na zrębie nie było ani jednej sztuki.

„Tatuś miał rację — pomyślał chłopiec — nic z tego nie będzie" i postanowił wracać do domu. Podniósł się, prostując zmęczone długiem siedzeniem plecy, rozejrzał się wokół i natychmiast przysiadł z powrotem. Dostrzegł ruch w zagajniku, a potem wyraźnie trzy grzbiety. Wychodzą... lada chwila będą na haliźnie, a on chciał opuścić zasadzkę!

Zbliżały się ostrożnie, nieufnie, usiłując wietrzyć i nadsłuchiwać pomimo szelestu deszczu i targającej krzewami wichury. Władek po raz pierwszy w życiu widział je tak dobrze. W ślad za przewodnicą chmara w odległości niespełna stu kroków mijała czatownię, dążąc zwykłym szlakiem przez zrąb do sąsiedniego lasu. Wszystkie trzy łanie były już na płoni, podczas gdy przezorny byk ociągał się jeszcze z wyjściem. Chłopiec instyktownie przeczuwał miejsce, w którem go ujrzy na skraju zagajnika i gotów do strzału, nieprzytomny z emocji czekał, gorączkowo licząc sekundy. Oto rozchylają się gałęzie pod naporem wieńca, tak potężnego, że Władek aż oczy przymrużył i o mało broni z rąk nie upuścił. Muszka napróżno szuka komory, drżące ręce nie mogą utrzymać celownika na kroczącym dumnie królu kniei, palec nie śmie na cyngiel nacisnąć... A tymczasem niema chwili do stracenia. Władek doskonale zdaje sobie sprawę, że najlepszy moment dla strzału, gdy miał byka na połać, już minął, że jeśli nie strzeli zaraz, natychmiast, to będzie zapóźno, więc niepomny siebie, nie próbując już nawet uspokoić ręki—daje ognia. Gwałtowny łomot i tentent na zrębie... Przerażone sztuki pełnym cwałem sadzą ku porębie — łanie razem, byk ze łbem nisko schylonym — w odmiennym kierunku. Ale niedoświadczone oczy młodego myśliwego nie wierzą jeszcze w zwycięstwo. Z niewysłowionym lękiem, prawie z rozpaczą śledzą bieg jelenia wyraźnie, z wysokiej czatowni widoczny. Dobiega do kępy gęstej dębiny, skrył się w niej... nie wyszedł, nie pokazuje się więcej! Czyżby?! Przeczucie triumfu serce rozsadza. Ależ tak, napewne, gdzieżby się mógł podziać, to było zaznaczenie komorowego strzału tak, jak ojciec tyle razy opowiadał, jak Raesfeld opisuje. Więc bełkocąc jakieś niezrozumiałe dźwięki ześliznął się raczej, niż zeszedł z czatowni i skacząc przez pnie i krzewy, pędzi co sił w nogach do gęstwiny, co kryje skarb jego.

Potężny dwunastak leży na boku z odrzuconym w górę zadnim badylem, pysk zafarbowany krwawą pianą, wylot kuli między żebrami. Władek klęka przy nim w niemym zachwycie, liczy raz po raz gałęzie, gładzi ciepłą i wilgotną suknię. Mija chwila za chwilą, ale dla niego czas się zatrzymał. Nie czuje przenikającego do kości wiatru, ani mimowolnych dreszczów, zapomniał wyjąć drugą kulę z lufy rzuconego na mokrą ziemię sztuceru.

---

kam, by pierwszy nie strzelać, słyszę, że pozostawiony za nami głuszec, który grać przestał, zrywa się. Mój objawia pewne zaniepokojenie, a że już jest widno, ubijam go. Po chwili naprawo przedemną pada strzał i słyszę spadającego koguta. Pieśni nie słyszałem. Okazało się, że zabił go Komorowski o 184 kroków odemnie. Głuszca, który był gdzieś na dystansie 140-tu dzielących nas kroków, słyszał dokładnie lecz był przekonany, że gra bliżej mnie i że ja do niego idę. Ja miałem to samo w odwrotnym kierunku przekonanie. Grał on zapewne o kilka kroków od polanki, gdyż ja się od niej oddaliłem zaledwie o 55 kroków! Komorowski zaś przeszedł 174.

Morstin miał pecha, gdyż aczkolwiek był pod głuszcem, wypatrzyć go nie mógł, a po naszych strzałach przestał on grać i niebawem się zerwał. Pozostawiamy mu pozostałe 6 kogutów do dyspozycji, a z Komorowskim ruszamy pod wieczór do ur. „Ostrowa" na cietrzewie.

Po parugodzinnej podróży końmi, docieramy do skraju niezarośniętej, zeschłemi trawami i szuwarami pokrytej, prawdziwej błotnej pustyni. Miejscami czernią się na niej kępy sośniny, lecz w bezkres zdają się one mokradła ciągnąć i w rzeczywistości na dziesiątki kilometrów liczyć je można. Po godzinnym marszu przez kładki, dochodzimy do jednej z takich wysepek, gdzie nocować będziemy. Gajowi rozpalają ognisko, my zaś rozchodzimy się, by może coś na podchodnego ustrzelić. Biorę ze sobą mego manlichera, licząc na żórawie, które zewsząd dookoła się odzywają. Posuwam się wązkim pagórkiem, zarośniętym sośninką, który jakby pomostem głęboko w bezkres bagien się wcina. Dochodzę do jego końca i na pieńku zasiadam. Przedemną widok tych prawdziwie Poleskich moczarów cudowny, nad którym słońce ku zachodowi chylić się poczyna, na prawo las wysokiego szuwaru, dalszy widok mi przesłania, lecz prosto przedemną jedynie horyzont widok mi przesłania. Na lewo zdaleka czerni się wysepka sosnowa, a mszar ten cały, zda się dyszeć głosami różnorodnego ptactwa, począwszy od wielkich kulonów, do małych bekasików w miejscowej gwarze „tyliwuzikami" zwanych. Zapach mszaru specyficzny z rozkoszą wciągam nozdrzami, czekając, by słońce płomienną swą kulę na nim złożyło.

Poza śpiewem mszaru cisza dookoła niezmącona. Ludzkie sadyby tak daleko przecie. Nie słychać nic, coby człowieka przypomnieć mogło i ja sam w tej ciszy się rozpływam, istnieć zda się przestaję. Od czasu do czasu gromki okrzyk żórawi, powietrze rozdziera. Widzę je po chwili, jak nisko, jeden za drugim nad mszarem ciągną. Jest ich ośm; zapadają z klangorem na pareset kroków przedemną, rozchodząc się w różne strony.

Niby błotne duchy, kroczą szare, wielkie ptaki, po tem mszarnem pustkowiu, a mgły wieczorne, które słać się poczynają, zasłonę oparną na nich kładą.

Słońce już dawno się skryło, niebo fioletem jakimś dziwnym płonie, do snu mszar się układa.

Pierwsze umilkły cietrzewie, spóźniony jakiś

kulon nad głową z kwileniem mi przeleciał; beczą monotonnie bekasy. Hen z daleka przyleciał zew żórawia. Z klangorem zrywają się, przedemną się.

Nagle ocknął się z odrętwienia: z naliżny od strony czatowni ktoś go nawoływał. Poznał głos ojca.

Pan W. zaglądnął o świcie do pokoju syna i spostrzegłszy ucieczkę, pośpieszył do lasu, by na miejscu przyłapać winowajcę. Był zdecydowany skarcić go ostro, gdy wtem usłyszał strzał. „Ma szczęście gałgan — pomyślał — jeżeli zabił byka, to trudno i darmo, nie potrafię go zbesztać".

Szybkim krokiem doszedł do zrębu i zaraz rzuciły mu się w oczy świeże ślady uciekających w popłochu łań. Czwartej sztuki nie było. „Zabił" szepnął do siebie p. W. i już udobruchany zupełnie, jął tropić starannie aż do miejsca, skąd pomknęły łanie. Po krótko ściętej sierści na miejscu strzału poznał dobrą kulę i wówczas dopiero zawołał na syna. O srogiem besztaniu oczywiście nie mogło być mowy. Okazały wieniec i pożałowania godny wygląd mokrego od stóp do głów chłopca był aż nadto rozbrajający. Należało jednak czemprędzej wracać do domu, bo Władek dygotał jak liść osiki. Niemal siłą zmusił go p. W. do pozostawienia byka na pieczy gajowego, obiecując natychmiast wysłać konie i jeśli deszcz przestanie, osobiście zdobycz eskortować.

KONIEC CZĘŚCI I.

BENEDYKT HR. TYSZKIEWICZ.

Dwa dni nad Bahr el Gazalem
Balaeniceps rex.

(Zob. Nr. 19).

Dokończenie.

Wczoraj wieczór, przy obiedzie, zwiększyliśmy dawki chininy, biorąc dwie pigułki zamiast jednej 5-ciogranowej. Spaliśmy również po raz pierwszy pod siatkami, chroniącemi nas od komarów. W kajutach — w mojej może najbardziej — panował upał prawie nie do zniesienia (31 R.), i mało pomagał wiatrak elektryczny, zawieszony tuż obok mojej głowy.

O wschodzie słońca ruszamy dalej bardzo wąskiem korytem Bahr el Gazalu, mając barżę doczepioną na przodzie Gordona — do tej pory mieliśmy ją zawsze umocowaną do boku. W ten sposób łatwiej nam przeciskać się i wykręcać wśród trzcin i przeróżnej wodnej roślinności, o którą, jadąc, zawadzamy często bokami okrętu. Sterowanie trudne, ale załoga dobra, znakomicie daje sobie radę. Spotykane po drodze większe plastry traw w rodzaju wysp pływających, rozbijamy naszym naporem, i znów przez chwilę droga przed nami otwarta.

Po obu brzegach bagna, trzęsawiska, ciągną się bez końca, i zrozumieć nie możemy, gdzie tu polować można. Zapewniają nas, że dalej napotkamy przestrzenie stepu suchego, jak również i „busz", ów karłowaty i kolący las afrykański.

Plan myśliwski na dziś ułożony, kolejka wyznaczona. Jak tylko zwierzynę spotkamy, Gordon ma stanąć, a szczęśliwy wybraniec wysiąść i zwierza podchodzić. Reszta towarzystwa pozostaje na pokładzie i śledzi za przebiegiem polowania. Nie wolno jeno zapuszczać się zbyt daleko w głąb kraju, zamieszkują tu bowiem dwa szczepy, dość europejczykom nieprzyjazne, a znajdujące się obecnie między sobą na stopie wojennej. (Przed wyjazdem z Chartumu byliśmy o tem uprzedzeni przez władze i zobowiązaliśmy się wskazanej nam granicy nie przekraczać).

W pewnej odległości przed nami zamajaczyły się w końcu jakieś drzewa i krzaki, — trawy z zielonych stały się żółte, — dowód, iż zaczynał się step. Otucha w serca wstąpiła. Ujrzeliśmy też wkrótce stadko kobów z 15 głów liczące, na które Romanowi iść wypadało. Wystraszone widokiem naszego Gordona, pomknęły szybko i schowały się w trawach, po dłuższej chwili jednak kilka strzałów z manlichera oznajmiło nam, że Roman je podszedł. Na nieszczęście nie powiodło mu się. Jednego spudłował, drugiego, podstrzelonego, nie dostał. Nie chcąc narażać nas na dłuższe czekanie, dalszego

---

dzące i głos ich donośny rozpływa się w mrokach nadchodzącej nocy.

Raz jeszcze odzywają się już bardzo zdaleka, na niebie bledną barwy zorzy płomiennej, bekasy jeno niewidzialne wciąż monotonnie beczą.

Mgły cicho błoto spowiły, nad niemi ostro się znaczą cienkie pasma chmur, miejscami na jasnej poświacie zagasłego nieba zawieszone.

Wstaję cichutko, by nie zbudzić tej ciszy wieczoru, i ku ognisku naszemu podążam.

Ciepła noc do snu nas kołysze, a przed świtem hejnał poranny żórawi do wstawania przynagla.

Tok na „Ostrowach" znajduje się na pólku, dookoła którego sterczą już w błocie, suche pnie sosen, te i owe z rozłożystemi konary. Po ustrzeleniu kilku cietrzewi przy budce, cały tok na owe suche sosny się przeniósł.

Ciekawy był widok grających na sosnach cietrzewi. Szykały, podskakiwały i biły się, spędzając jeden drugiego. Spuszczałem je kolejno z mego manlichera. Naliczyłem 11 sztuk, gdy ostatecznie ucichły! Niestety, dwu odnaleźć nie mogłem, gdyż wprost nie mogłem spamiętać, na których drzewach strzelałem. Komorowskiemu, który strzelał śrutem, udało się ubić tylko dwa.

Wracam do Kunina, gdzie na nas oczekuje Morstin. Biedakowi stanowczo się nie wiodło. Wieczorem zasadził 5 sztuk, gdy podchodził skrajnego na prawo, gajowy pozostawiony na polance, podsunął się za blizko pod las. Najbliżej siedzący kogut się spłoszył, i zerwawszy, z łoskotem przeleciał ponad całym tokiem.

Tok zamilkł.

Po powrocie do Józefina polujemy raz jeszcze na cietrzewie, lecz ponieważ wszystko na świecie ma swój koniec, rozjechać się musimy. Odjeżdża Morstin. Poluję raz jeszcze na głuszca d. 2 maja. Brzoza już listki rozpuściła, pieśń płynie tak cicho, że jedynie część jej pierwszą t. j. telekanie uchem pochwycić można. „Sipit" mówią tutaj leśnicy. Toki skończone. Jeno zawzięte cietrzewie za wygrane nie dają. Wracając, widzimy z wózka grono czarnych szermierzy w walce zajadłej, którą na chwilę kula manlicherowa przerywa, ostatnią sztukę do naszego rozkładu dołączając.

A na rozkładzie tym mamy: 13 głuszcy, 1 skrzekota 116 kogutów cietrzewich i 5 słonek.

Za nami wspomnienia tych trudów, sercu myśliwca tak drogich, przygód, zmartwień i przeżytych wspólnie chwil radosnych.

Przesuwają się w myśli te noce, u ogniska spędzone, szare świty, płomienne słońca wschody i zachody. Uchu zda się słyszeć jeszcze tę pieśń wiosenną borów i mszaru, a choć twarze nasze wśród trudów łowieckich, opalone słońcem, ponownie przybladną, serce żyć będzie wspomnieniem... do roku przyszłego.

szukania wyrzekł się i na statek powrócił. — dobrze się też stało, gdyż nieco dalej przyszła kolej na Adama podchodzić piękne stado Waterooków, tych ślicznych, trochę nasze jelenie przypominających antylop.

Z wielkiem zainteresowaniem obserwowaliśmy, jak nasz towarzysz, bardzo wytrawny myśliwy, ostrożnie do nich podchodził i, nie spiesząc się, starał wyszukać lornetką sztukę najpiękniejszą. Wreszcie padł strzał jeden, drugi i po pewnym czasie Adam przyniósł z sobą piękną parę długich, karbowanych, naprzód wygiętych rogów.

Trzeci z kolei wysiadłem ja, mając za zadanie podchód pięknego, pojedynczego koba. Pasł się niezbyt daleko i w dość prędkim czasie udało mi się zbliżyć na strzał przyzwoity. Leżąc na kopcu termitów, górowałem nad trawami i strzał miałem nietrudny, — na nieszczęście nie okazał się szczęśliwym; źle trafiona sztuka, nim powtórnie strzelić zdołałem, dała znak i schowała się w gąszczu. Na trawie znalazłem farbę, było jej nawet nie mało, po kilkuset krokach jednak, nie znajdując postrzałka, z wielkim smutkiem zawróciłem, pozostawiając dwu ludzi dla dalszych poszukiwań.

Jadąc dalej, wjechaliśmy znowu w kraj bagnisty, gdzie już żadnej czworonożnej zwierzyny spodziewać się nie było można. Warta miała wydane polecenie śledzić za Balaenicepsem.



Była druga popołudniu, gdy z budki sternika zauważono pierwszego, stojącego nad małą zatoczką niezbyt daleko od brzegu rzeki. Pierwszy raz w życiu mieliśmy przed sobą na swobodzie tego rzadkiego, oryginalnego ptaka, olbrzymiego bąka kształtem i postawą przypominającego. Stał spokojnie, nieruchomo, jakby drzemiąc, dziób swój gruby niekształtny, brzydki w dół trzymając spuszczony, jakby mu ciężył zbyt wiele. Oryginalny ów dziób, niezgrabny but przypominający, stał się powodem przezwiska, jakie mu ornitolodzy angielscy nadali, zwąc go „Shoebird" (ptak but). Cała jego królewskość, — to chyba piękne ubarwienie ciała, szaro niebieskie, oraz potężne, szerokie i rozłożyste skrzydła. Gdy wreszcie, obudzony ze swoich rozmyślań szumem zbliżającego się statku, podniósł się ciężko na skrzydłach, podobnym się wydał do małego aeroplanu, i rzeczywiście w locie wspaniałe robi wrażenie.

Nieco dalej pokazał się drugi. Tym razem Jerzy postanowił spróbować na nim sztucera, paru nas chwyciło strzelby śrótowe na wszelki wypadek.

Ocknął się nieborak ze słodkiej zadumy, gdy mu kulka zbyt blisko gwizdnęła, — wzniósł się na skrzydłach, a powitany jeszcze kilkoma wystrzałami z dubeltówek i zatoczywszy wielki łuk w powietrzu, zasiadł kilkaset kroków dalej, gdzieś w trzcinach. Przypuszczając, że może być rannym, postanowiliśmy nie dawać za wygraną i wraz z Romanem poczęliśmy wołać o łódkę.

Nie łatwą sprawą było wylądować tam, gdzie nigdzie twardego lądu nie było wokoło. Trawy i gęste sitowie stanowiło zaporę nie do przebicia dla naszej niezgrabnej, żelaznej łódeczki. Mała łódeczką, wązką a lekką, może by się udało wjechać głębiej w szuwary i dopłynąć do miejsca płytszego. — w tym wypadku daremnie wysilali się nasi dwaj majtkowie. Zniecierpliwiony wreszcie, pierwszy wyskoczyłem z łódki i odrazu zagłębiłem się w wodę wyżej pasa. Za mną Roman uczynił to samo i tak obaj, pędzeni tą samą żądzą zdobycia rzadkiego okazu, brnęliśmy, jak kto mógł najprędzej, w stronę, gdzie przypuszczalnie ptak się zaczaił.

Obaj arabowie powyskakiwali za nami, by nam przyjść z pomocą i ewentualnie za głowę z bagna wydobyć. Z Gordona tymczasem zachęcano nas krzykami, gestami i wymachiwaniem rąk, wskazując kierunek, w którym iść należało.

Szał jakiś wszystkich ogarnął, a widok musiał być rzeczywiście komiczny i zabawny dla tych, którzy z góry i z suchego pokładu nam się przypatrując, nie brali udziału w tej kąpieli i walce o pierwszeństwo w zdobyciu, jeno... ptaka.

Zapadając co chwila w wodzie i trawie, a grzęznąc w błocie, posuwałem się naprzód w raz obranym kierunku; Roman brnął nieco dalej, inną obrawszy drogę.

Balaeniceps nie ruszał się ze swego przygodnego ukrycia, i widocznie obojętne lub niezrozumiałe były mu krzyki i plusk wody, zwiastujące jednak zbliżanie się nieprzyjaciela.

Doszedłem wreszcie do miejsca, zarośniętego mniej wysoką trawą, przedemną zaś błysnęła wąska smuga otwartej wody, oznaczająca miejsce na pewno zbyt głębokie. Czułem, że tędy już nie przejdę, że może jedynie ta zapora przedziela mnie od celu, a tu z boku podchodzi rywal. Czasu nie było do stracenia. Ruchem ręki wskazałem arabowi wodę i miejsce głębokie, sam zaś zatrzymując się nad topielą i trzymając strzelbę w pogotowiu, czekałem skutków mojego manewru. I dobrze się stało. Wystraszony silniejszem pluśnięciem wody, porwał się Balaeniceps ociężale i wolno, lecz w chwili, gdy się jeno nad sitowiem ukazał, padł, moim strzałem śmiertelnie trafiony.

Odwrócony głową do statku, nie mogłem wstrzymać się od wydania radosnego okrzyku, stamtąd również szły wiwaty i machano ku mnie rękami.

Mokrzy, brudni, zmęczeni, powracaliśmy pomału do łódki, mój marynarz, trzymając ostrożnie ubitego ptaka.

Czekano na nas na statku z nadstawionymi aparatami fotograficznymi a siedząc już w łódce, z trudnością ciężkie trofeum wznosiłem do góry, by nim się przed towarzyszami pochwalić. Cieszyłem się tą zdobyczą jak dziecko, radość moja była niezmierna, z myślą biegłem ku Warszawie, dokąd przy pierwszej sposobności zamierzałem donieść prof. Sztolc-

manowi, znanemu ornitologowi i myśliwemu, o pozyskaniu dla zbiorów muzealnych pożądanego rzadkiego okazu *).

Pod sam wieczór wysiadłem na godzinę podchodu, tym razem na stałym i suchym lądzie, pokrytym rzadkim buszem i drzewami gumowemi. Prócz młodego waterboka, do którego strzelać nie chciałem, i bardzo starych, licznych śladów słoni, nie widziałem. Podziwiałem te ilość i olbrzymie rozmiary niektórych tropów. Całe stada ich muszą tu przebywać podczas pory deszczowej, a wśród nich jakież kolosalne samce być muszą!

Nikomu podchód wieczorny się nie udał, a śpieszyć musimy z powrotem ku jeziorowi No, zabierając po drodze mych ludzi.

Dawno było po zachodzie słońca, gdyśmy z trudem dopłynęli do miejsca, gdzie przy płonącem ognisku, powrotu naszego wyczekiwano. Opowiadali nam towarzysze o bardzo nieprzyjemnem spotkaniu z bandą dzikich, którzy w pierwszej chwili rzucili się na nich z dzidami. Dopiero, posłuszni radom ostrożnego przewódcy, odstąpili od złych zamiarów i odeszli z pogróżkami.

Podstrzelonego mego koba nie znaleziono.

Warszawa, 1-go listopada 1924.

*) Ptak ten zdobi obecnie Polskie Państwowe Muzeum Przyrodnicze wypchany przez miejscowego preparatora p. Sapińskiego. (Przyp. Redakcji).

WŁODZIMIERZ ŁYSIŃSKI.

Z mandżurskich wspomnień.

Jako uczestnik wojny rosyjsko - japońskiej, przebyłem dwa lata na terenie Mandżurji, gdzie, pomimo trudów i ciężkiej pracy ustawicznego cofania się na północ, nie mogłem się jednak oprzeć żyłce myśliwskiej i bacznie obserwowałem czworonogich i skrzydlatych mieszkańców tego kraju. Na polowanie, oczywiście, nie było czasu i dopiero w lecie 1905 roku, zrobiłem kilka wycieczek w okolicach Chersu a następnie, po zawarciu pokoju, w jesieni tegoż roku polowałem już prawie codziennie w okolicach Szuanczeupu, gdzie bataljon nasz, we wsi Udiami, kwaterował do marca 1906 roku.

W okolicy Chersu, polowałem wyłącznie na ptactwo i tu spotykałem w większej ilości bażanty, na błotach zaś, prócz biegusów i brodźców nic więcej nie widziałem. Kuropatw nie spotykałem zupełnie i na wszystkie moje wypytywania, Chińczycy, nic umieli mnie co do nich poinformować. W górach dosyć często widywałem gołębie, wielkości naszego siniaka, tylko w upierzeniu ich przeważał kolor różowy *).

W jesieni, będąc już za Gundżulinem, w wyżej wymienionej okolicy miasta Szuanczeupu spotykałem, prócz bażantów, dropie strepety, gęsi oraz kaczki na jeziorze koło wsi Sytuń, z tych ostatnich jednak nic udało mi się żadnej zdobyć. Zaznaczę, że dla braku psa, polowałem przeważnie z naganką lub „na wydeptanego", kuropatw tu też nie było, natomiast spotkałem raz przepiórkę, przy 10 stopniach mrozu. Zajęcy mnóstwo. Nie różnią się zupełnie od naszych, są tylko trochę mniejsze *). Chińczycy nazywają zająca „ucz:kau" i, co jest charakterystyczne, to, że tylko mężczyźni; kobiety zowią go „Thuza", co w narzeczu mandżurskiem: znaczy — djabeł.

*) Prawdopodobnie Sybirska odmiana gołębia skalnego (Columba rupestris daurica, Radde). Przyp. Red.

*) Zając mandżurski (Lepus mandschuricus, Radde). — Przyp. Red.

Lisy mają nory przeważnie po cmentarzach w t. zw. świętych gajach. Wilki, pomimo braku lasów trafiają się dość często. Nie zapomnę jednego polowania. Było to w grudniu, gdy spadł nieduży śnieg. Wybraliśmy się we czterech do obszernej doliny, w której, na przestrzeni jakiegoś kilometra ciągnęła się pasem, do stu kroków szerokim, plantacja wierzby koszykarskiej. Ponieważ plantacja była w kilku miejscach przecięta poprzecznemi dróżkami urządziliśmy się w ten sposób, że dwu z nas zajmowało stanowiska na dróżkach, dwu zaś szło bokami, trochę przed naganką. Zaraz w pierwszym miocie wyszły na boki dwa wilki, trzeci na dróżkę. Zające i bażanty literalnie kotłowały się w wierzbinie. Padło wtedy, w tych kilku maleńkich miotach dwa wilki, lis, dwadzieścia bażantów i kilkanaście zajęcy. Dodać muszę, że broń mieliśmy wszyscy bardzo lichą, a biedny nasz kolega, chorąży Ż. płakał i klął naprzemian, nabijając swą kapiszonówkę. Jak ryczeli i klęli żołnierze — naganiacze, przedzierając się przez gęstą wierzbinę, nadeptując na zające, a niektórzy, skacząc do góry za bażantami, kto znał Moskali — może sobie wyobrazić.

Chińczycy polują mało. Kapitalnie wygląda taki nemrod, gdy wychodzi w pole z pojedynką, która bardzo często zamiast normalnej kolby, ma pistoletową rękojeść, a lufę na półtora metra długą. Proch zupełnie sadzę przypomina, zamiast śrutu używają niefcremnych żelaznych kulek, jakie odbryzgują w odlewniach; kapiszony robią z papieru, nepełniając je siarką od zapałek.

Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć, aby który z nich coś zabił, chociaż polowaliśmy razem dosyć często. Pamiętam wypadek, jak jeden stary myśliwy tropiąc zająca, poszedł w tył po tropie i długo kłócił się ze mną, że tak właśnie, a nie inaczej, iść trzeba. Umieją za to po mistrzowsku wykurzać lisy z nor po cmentarzach i zawsze dużo ich znajdowałem odartych ze skóry gdym do świętych gajów zaglądał. Bocianów, kruków, wron i srok nie widziałem tam zupełnie. Parę razy spotkałem ptaki podobne bardzo z budowy i głosu do naszych srok, tylko upierzone szaro i jakby trochę kasztanowato *). Prof. Ossendowski w ostatniej swej książce „Od szczytu do otchłani", opisuje kruki i wrony czyhające na głowy ściętych Chińczyków (str. 24), nie zapominając oczywiście i o tygrysie, który zjadł kozaka w okolicach Charbina.

O autentyczności tych i innych spostrzeżeń oraz przygód myśliwskich znakomitego podróżnika możemy sobie najlepiej wyrobić zdanie za pomocą następujących zestawień. Autor, będąc wysłanym zaraz po wybuchu wojny z Charbina do Petersburga, trafił tam na budzącą się rewolucję i był świadkiem ulicznej strzelaniny w dniu 9 stycznia 1905 roku (str. 10). Następnie, po powrocie na teren wojny widział wojska rosyjskie, maszerujące na pozycje Laojańskie (str. 14 — 15) i nic go to nie obchodzi, że bitwa pod Laojanem, zdarzyła się w sierpniu 1904 roku. Cóż wobec tego znaczą tygrysy, a tembardziej, jakieś tam kruki i wrony.

*) Prawdopodobnie mowa o rodzaju sójki północnej (Perisoreus infaustus, Tacz.) — Przyp. Red.

JERZY OREŃSKI.

Z badań nad słownictwem łowieckiem.

Zob. № 16. (Dokończenie.)

Nieprzewidziany brak miejsca w „Łowcu Polskim", zmuszający do przetrzymywania wielu nawet bardzo aktualnych artykułów, nie pozwala na razie na wyczerpanie pracy niniejszej nietylko w

części niemieckiej, wymagającej nader mozolnego trudu poszukiwań, lecz nawet w części polskiej.

Pragniemy więc tutaj jedynie na zakończenie rocznika, dać również tymczasowe zakończenie części uzupełnień, o które w „Słowie Wstępnem" szanowny ks. Ludwik Niedbał tak „serdecznie prosi".

W literze B brak wyrazów:

Babka — gatunek strzelby.

Baka — części broni palnej przy osadzie, poduszka.

Balistol — tłuszcz do smarowania luf.

Bałuk — czołganie się psa legawego.

Bałukować i Bałyk — ob. Bałuk. (Jest tylko Bałykować).

Bandolet — gatunek broni ognistej, staroświeckiej.

Baranec — ludowa nazwa kszyka.

Barbets — gryfony legawe, francuskie.

Bargiel, v. Bargieł — ptak z rzędu przyrosłopalcowych. („Sitta europaea").

Barglik — takiż ptak (Xenops).

Baribal v. Barybal — gatunek niedźwiedzia (Ursus americanus).

Bars — gatunek pantery azjatyckiej (Felis irbis).

Barwa — kolor uwłosienia sarny.

Barwica — ptak z rzędu dwuparzystych (Phoenicophaus).

Bas — głos najniższy na trąbie myśliwskiej.

Baskila v. Baskuła — część strzelby.

Basset — gatunek gończego ostrowłosego na krótkich nogach.

Bawolec — gatunek antylopy.

Bawół — (Bos bubalus).

Bażantarnik — (podano tylko: bażantnik).

Bączek — (Ardea minuta).

Bąkojad — (Buphaga).

Beagle — małe psy gończe angielskie, używane na zające.

Berdanka — gatunek broni.

Bestwieć — o psach, biegać się, pobiegać się.

Bezkurkowa broń.

Bezlotek — (Aptenodytes).

Bezpiecznik — mechanizm przy broni, zabezpieczający od nagłego wystrzału.

Bęben — część mechanizmu przy sztucerach magazynowych.

Bęk — głos ptaka, bąka.

Białoboczka — sroka.

Białodziób — gatunek dzioborożca.

Białogłów — gatunek orła.

Białoogon — to samo.

Brak miejsca nie pozwala nam nawet na wyczerpanie części litery B.

Na ogół zaś twierdzić możemy, że szczegółowe uzupełnienie przerastałoby rozmiarami zarówno część polską jak i niemiecką „Słownika" gwary myśliwskiej ks. L. Niedbała, który postawił sobie za cel szlachetny wykazanie bogactwa słownictwa polskiego.

LISTY DO REDAKCJI.

Jeden ze skutków wycieczki do Krośniewic.

Pan Antoni Łączkowski w swojej korespondencji „Z wycieczki do Krośniewic" („Przegląd Myśliwski" i „Łowiectwo Polskie" Nr. 18 i „Łowiec Polski" Nr. 11) uważał za rzecz słuszną, aby na podstawie informacji, otrzymanych od Nadleśnictwa Krośniewickiego, zarzucić kółku łowieckiemu, dzierżawiącemu Dąbrowce, brak etyki łowieckiej i niszczycielstwo zwierzyny. Zarzut bardzo ciężki, najcięższy ze wszystkich, które można przeciwko myśliwemu podnieść. To też pan Łączkowski odwołuje się nawet do „władz odpowiednich, które w imię dobra naszego łowiectwa winny te sprawe wyświetlić". „Otóż możemy pana Łączkowskiego zapewnić, że wynik tego „wyświetlenia" byłby przykry przedewszystkiem i jedynie dla niego. Przypuszczamy, — a pan Łączkowski musi przyznać nam słuszność, że na ten pomysłowo zalecony w korespondencji, sposób „wyświetlenia sprawy przez władze odpowiednie" Nadleśnictwo Krośniewickie napewno wpadłoby własnym dowcipem, gdyby w tej sprawie wogóle było do wyjaśnienia cośkolwiek więcej ponad te tylko okoliczność, że pan Łączkowski bardziej gorliwy, aniżeli przezorny opiekun krajowego łowiectwa — padł tym razem ofiarą swej łatwowierności i nieostrożności, publikując tak ciężkie i uwłaczające czci łowieckiej zarzuty, niesprawdzone dostatecznie. Wzmianka pana Łączkowskiego jest „znamiennym przykładem" conajmniej lekkomyślności, że nie powiemy braku etyki u publicysty. Ponadto, jeżeli pan Łączkowski zajmuje się dziennikarstwem tylko przygodnie, to niech nam wolno będzie zalecić mu zasadę „nec sutor ultra crepidam". Co do strony rzeczowej podniesionych zarzutów zaznaczamy, że:

1. Tereny, dzierżawione przez Ostrowskie Towarzystwo Łowieckie od lat 10, nie graniczą bezpośrednio z dobrami Krośniewickiemi.

2. Zatwierdzony prawidłowo Statut O. T. Ł. i skład jego członków dostatecznie zapewniają racjonalne wykonywanie polowań, które zresztą, odbywając się jawnie — przy użyciu broni palnej, a nie białej, nie mogą ujść uwadze „władz odpowiednich".

3. O. T. Ł. nie urządza polowań zimowych po dorocznem polowaniu w Krośniewicach. Natomiast raz rzecz miała się zupełnie odwrotnie. Terminy odbytych polowań są do sprawdzenia, gdyż z każdego polowania jest prowadzony protokół. Gdyby nawet przypadkowo zdarzyło się, że terminy polowań, wyznaczonych przez Nadleśnictwo i O. T. Ł. się zbiegły, to przecież dla uniknięcia tego na przyszłość, porozumienie się bezpośrednio z O. T. Ł. co do terminów, byłoby tu sposobem o wiele prostszym i skuteczniejszym, aniżeli poruszanie tak błahej w istocie okoliczności aż w prasie. Mimowoli nasuwa się tu niezaszczytne dla Nadleśnictwa porównanie omawianej wzmianki do strzału w plecy O. T. Ł. z za pleców pana Łączkowskiego. Takie strzały nie uchodzą nawet gajowym, a cóż dopiero Nadleśnictwu Krośniewickiemu, które nawet w sprawie wątpliwej dla siebie będzie miało zawsze za sobą przewagę autorytetu, jako jedyna w kraju produkcja zwierzyny dla celów hodowlanych, i łatwiej znajdzie powolne ucho i zrozumienie, aniżeli przeciwnik w sporze, nieznany ogółowi.

Spodziewamy się, że pan Łączkowski, krzywdzące nas, a niesłuszne zarzuty odwoła w tem samem piśmie, w którem je postawił, i uwolni nas od przykrej konieczności szukania zadośćuczynienia na drodze sądowej.

Ostrowskie Tow. Łowieckie.

Prezes A. Grąbczewski. Łowczy M. Ziółkowski. Sekretarz — Skarbnik Z. Paczkowski.



Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników o łaskawe nadsyłanie wiadomości do Kroniki myśliwskiej, bez względu na słabe rezultaty polowania. Wiadomości te są bardzo ważne dla statystyki łowieckiej).





— Piękne sportowe polowanie odbyło się w Dzikowie (Małopolska) u Zdzisława hr. Tarnowskiego — w dniu 3 grudnia r. b. W 8 strzelb zabito: 1 jelenia (12-taka), 5 dzików 6 kozłów (z rogami) i 31 lisów.

Do zajęcy prawie że zupełnie nie strzelano, zabito ich zaledwie kilkadziesiąt sztuk. Do kozłów strzelano tylko z rogami.

Jeden z uczestników polowania, mianowicie Tomasz hr. Zamoyski, w czasie jednego pędzenia zabił dzika (wycinka), 2 kozły i 2 lisy.

— A. W. — Tow. Łowieckie w Kole urządziło polowanie w Kościelcu dnia 20 i 21 listopada w kilkanaście strzelb. Drugi dzień — niepogoda. Mimo to zabito: 3 kozły, 188 zajęcy, 260 królików, 7 kur, 1 cietrzewia, 459 sztuk razem. Były i dziki, które choć strzelane uszły cało.

Strzałów padło 1147. - Króliki mimo tępienia, bo od 1 lutego do 21 listopada zabito 807 sztuk, to jeszcze tyle padło na polowaniu.

Wielka szkoda, że tak silnie zające się nie rozmnażają jak króliki.

Łowczemu p. Janowi Łuszczewskiemu należy wyrazić uznanie za podniesienie zwierzostanu i dobrą organizację.

—o— Dn. 29 listopada odbyło się jednodniowe polowanie w lasach dóbr Przeździatka, posiadłości p. Zbigniewa Malewicza. Zabito: 2 dziki 5 rogaczy, 3 lisy, 1 jastrzębia i 45 zajęcy.

Królem polowania został p. Herman Knothe mający na rozkładzie 12 sztuk.

Drugie miejsce zajęli p. Jerzy Gościcki i p. Leopold Skulski, którzy zabili po 8 sztuk. Dziki przypadły w udziale p. Zygmuntowi Chrzanowskiemu i doktorowi Malewiczowi z Sierpca.

— T. Pl. — Dnia 14 z. m. odbyło się polowanie w leśnictwie Jastrząbek Nadleśnictwa Łąck. W 23 strzelby ubito 45 zajęcy, 1 lisa i 1 królika. W jednym miocie było stado dzików: 3 stare i 7 młodych. Jeden odyniec wyszedł na linię myśliwych, lecz umknął cało, ponieważ myśliwi nie zdążyli zmienić ładunków na kulowe. Królem polowania był sędzia Szczepiński, który zabił 7 zajęcy.

— K. K. — Dnia 21 z. m. odbyło się polowanie w 14 strzelb u pana Antoniego Dal — Trozzo w Długowoli (St. Grójeckie). Przy fatalnej pogodzie padło 61 zajęcy i 2 kuropatwy. Królem polowania był p. Tadeusz Pszczółkowski z Machnatki, mając na rozkładzie 10 sztuk.

— W. Ł. — Rezultaty polowań, odbytych na terenach Lubelskiego Towarzystwa Łowieckiego:

Dnia 18 października r. b. na terenach Parczew i Pobołowice, dzierżawionych przez Lubel. Tow. Łowieckie, odbyło się polowanie, na którem zabito: 2 dziki, 4 kozły, 1 lisa, 53 zające i 4 cietrzewie.

Dnia 22 listopada r. b. na terenie Świdnik - Duży, dzierż. przez Lubel. Tow. Łowieckie, w ośmiu miotach w słotną pogodę zabito: 122 zające, 1 kozła, 4 kuropatwy i kota swojskiego. Królem polowania został p. Kryński, który miał na rozkładzie 14 sztuk, kozła zabił p. Wąsowski.

Tegoż dnia na terenie Pawłów, dzierż. przez Lubel. Tow. Łowieckie, zabito: 77 zajęcy i 1 lisa. Największą ilość, 8 szt., miał p. Łysiński.

Dobre rezultaty polowań Tow. Lub. zawdzięczać należy staranniej ochronie terenów i karmieniu zwierzyny w porze zimowej, co wpływa dodatnio na przyrost zwierzostanu. Główną zasługą jest niezmordowana praca prezesa Tow. p. Eugenjusza Friemana, który z całem zamiłowaniem i poświęceniem czasu oddany jest Towarzystwu.

Z powodu trudności technicznych, Redakcja, zmuszona jest odłożyć do następnego numeru pozostałe opisy wyników polowań, za których nadesłanie dziękuje uprzejmie.

ŁOWIECKIE WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dziki na Śląsku.

Na pograniczu śląskiem — jak donoszą z Katowic — pojawiły się w większych ilościach dziki.

Największe stada ujawniono w pow. gliwickim, gdzie dotkliwie dają się we znaki rolnikom.

Pod Świnowicami zabito dzika ważącego do 6 centnarów.

Pojawienie się dzików ściąga tu liczne wyprawy myśliwskie.

Wilki na Podkarpaciu.

Równocześnie z olbrzymiemi opadami śnieżnemi, które w ostatnich dniach z. m. nawiedziły Małopolskę Wschodnią, na Podkarpaciu pojawiły się duże stada wilków. W poszukiwaniu żeru, wilki podchodzą aż pod siedziby ludzkie.

Gniazdo wilcze.

W czasie obejmowania przez władze wojskowe w Lidzie terenów przeznaczonych na lotnisko wojskowe, znaleziono gniazdo wilcze, a w niem troje młodych wilcząt.

Ze Stowarzyszeń Łowieckich i pokrewnych.

Z Centr. Zw. Polskich. Stow. Łow.

ZJAZD ZARZĄDU GŁÓWNEGO.

Sprawozdanie ze zjazdu Zarządu Głównego w dniu 30 listopada r. b., odkładamy do następnego numeru, z przyczyn techniczno-drukarskich.

W SPRAWIE KONTRAKTÓW Z WŁOŚCIANAMI.

Uchylenie okólnika starosty będzińskiego.

P. minister Rolnictwa i D. P. podzielił wywody memorjału Centralnego Związku w sprawie okólnika starosty będzińskiego, o zawieraniu z włościanami kontraktów na polowanie i zarządził niezwłoczne uchylenie tego okólnika. W memorjale Związku powtórzone były znane czytelnikom „Łowca", dotyczącego tego okólnika uwagi, zamieszczone w artykule p. Garczyńskiego p. t. „Kontrakty z włościanami" („Łowiec Polski", Nr. 17 b. r.).

Z Polsk. Tow. Łow. w Warszawie.

„Czwartki myśliwskie".

Szczęśliwą myśl miało Polskie Tow. Łowieckie (Nowy - Świat 35), zainaugurowawszy w czwartek 3-go grudnia r. b. pogadanki dyskusyjne z dziedziny łowiectwa. Na wieczorki te, oprócz członków Pol. Tow. Łowieckiego jak wogóle do lokalu Tow. mogą uczęszczać w charakterze gości członkowie wszystkich towarzystw, należących do Centr. Związku Pol. Stowarz. Łowieckich.

Pogadanki te zapoczątkował sekretarz Pol. Tow. Łowieckiego, mecenas Walenty Garczyński obrawszy sobie za przedmiot swego odczytu porównanie obowiązujących u nas dotychczas ustaw łowieckich w różnych dzielnicach Rzeczypospolitej, a mianowicie: pruskiej ustawy dla Wielkopolski, Ustawy z 1871 r. dla b. Królestwa Polskiego, Ustawy dla b. Galicji, wreszcie Ustawy dla b. Cesarstwa Rosyjskiego, obowiązującej na Kresach. Prelegent przeszedł porównawczo wszystkie wytyczne punkty ustaw łowieckich, a mianowicie cenzus gruntowy, terminy ochronne, wreszcie handel zwierzyną, przychodząc do wniosku, że bezsporn'e najlepiej ujętem jest prawodawstwo pruskie. Tematy, poruszone przez prelegenta są tak obszerne, że niepodobna ich było rozwinąć w pełni na jednogodzinnym odczycie. Pozostało więc kilka punktów nieporuszonych a niezmiernie ważnych, jak np. sprawa przynależności zwierzyny lub wysokość kar za przekroczenia prawa o polowaniu. Mamy jednak nadzieję, że p. Garczyński doskonale znający przedmiot i orjentujący się w słabych punktach naszych prawodawstw, wróci jeszcze do poruszonych przez nas tematów.

W następny „czwartek myśliwski" dn. 7 stycznia 1926 r. w lokalu P. Tow. Łow., Warszawa, Nowy Świat 35, o g. 8-ej wieczorem, p. Julian Ejsmond wygłosi odczyt p. t. „U źródeł łowiectwa na ziemiach Polskich". Wstęp dla członków stowarzyszeń należących do Centralnego Związku P. St. Łow. i osób zaproszonych. Specjalne zaproszenia rozsyłane nie będą. Pisma łowieckie proszone są o powtórzenie niniejszego komunikatu.

Płockie T-wo Racjon. Polowania.

(Zob. Nr. 19).

Dokończenie.

Sprawozdanie kasowe złożył skarbnik T-wa, p. Wagner. Przychód. Wpisowe od nowoprzybyłych członków zł. 795, składki członkowskie 5131, daniną 492, statut i regulamin 37, strzałowe 166, zwrot kosztów polowania 300, zwrot prenumeraty pism łowieckich 383, zaciągnięte pożyczki 1350 razem zł. 8936. Rozchód. Składka do Central. Łowieckiej 320, składka do Patron. Płockiej młodzieży akademick. 25, procenta od zaciągniętych pożyczek w banku 66 spłata pożyczek 1150, znaczki pocztowe i wydatki kancelaryjne 362, wyłożone koszty polowania 185, nabycie dwuch fretek 30, prenumeraty pism łowieckich 685, koszt dzieł łowieckich 50, opłata terenów dzierżawnych 2240, pensja straży łowieckiej 1084, opał dla strzelców 470, dzierżawa pastwisk dla strzelców 35, nagrody dla strzelców 30, umundurowanie dla strzelców 189, naboje dla strzelców i policji 61, za opał, światło i lokal na zbiórki w Hotelu Warszaw. 68, Uprawa poletek łowieckich, założenie bażantarni, budowa drabinek z daszkami dla karmienia sarn 1574, wydatki nadzwyczajne 25. Razem zł. 8661.

P. Woltersdorf, w uzupełnieniu sprawozdania nadmienia, że pominął fakt istnienia biblioteki P. T. R. P., którą założył dr. Żenczykowski, ofiarując kilkadziesiąt książek jako zapoczątkowanie bibljoteki. P. Wysocki w związku z tem stawia wniosek, by T-wo założyło bibljotekę łowiecką zapoczątkowaną przez dra Żenczykowskiego. P. Żenczykowski apeluje do zebranych, by zasilili bibljotekę dziełami, które posiadają. Przedewszystkiem pożądane byłyby dzieła takie, jak: Wodzickiego, Taczanowskiego, Brehma, których w bibljotece brak. Równocześnie prosi, aby ci, którzy kiedyś pożyczyli roczniki Łowca z roku 1919—20—21, zechcieli je zwrócić.

P. Malewski zaznacza, że dzieła które dziś bibljoteka posiada, mają dużą wartość, popiera wniosek p. Wysockiego, uzupełniając go tem by wyrazić podziękowanie drowi Żenczyńskiemu za zapoczątkowanie biblioteki i za poważne zasilenie dziełami.

P. Popkowski przypomina uchwałę, mocą której miał być pobierany procent od zaległych składek za zwłokę.

P. Wagner wyjaśnia, że procent ten jest pobierany.

Ze strony Zarządu wpłynął wniosek następujący:

„W razie nałożenia przez gminy podatku od wykonywania polowań, Zarząd prosi Z. O. o uchwalenie następującego wniosku: Z. O. upoważnia Zarząd do rozłożenia tego podatku w równej mierze na wszystkich członków, jako daniny".

P. Wysocki, nawiązując do wniosku Zarządu, proponuje podniesienie składek członkowskich tak, aby podatek ten był pokryty.

P. Averyn zwraca uwagę na fakt, że magistrat nałożył kontrybucję w wysokości 25 złotych od strzelby.

P. Malewski, odpowiadając p. Wysockiemu, twierdzi, że podatek omawiany nie ma charakteru podatku stałego, bo Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych już dąży do jego zniesienia. W tym roku jednak zapłacić go musimy.

P. Żenczykowski wyjaśnia, że o zniesieniu podatku gminnego nie może być mowy. Są starania ze strony Central. Łowieckiej, aby podatek ten był określony procentowo od tenuty dzierżawnej, nie znaczy to jednak, by Ministerstwo Dóbr Państwowych chciało go znosić. Wniosek Zarządu uchwalono.

P. Malewski przypomina punkt w sprawie przyjęć po polowaniach, którego myśl była ta, aby pp. leśniczowie i inni członkowie nie urządzali przyjęć drogo kosztujących, a aby uczestnicy polowania sami pokrywali koszt przyjęcia. Miło jest być przyjmowanym, — mówi, — ale gdy się ma możność zrewanżowania. W tym wypadku jest to niemożliwe, więc położenie takie jest dla wielu arcyniemiłe. Stawia się przeto wniosek:

„Zebranie Ogólne wyprowadza zasadę, że członkowie, biorący udział w polowaniu, powinni urządzać przyjęcie na wspólny koszt".

Wniosek upadł.

Z kolei przewodniczący odczytuje sprecyzowany wniosek p. Malewskiego. „Ogólne Zebranie wprowadza zasadę, że członkowie, biorący udział w polowaniach zbiorowych, powinni pokrywać koszta urządzonych przez Zarząd przyjęć, wspólnie w równej wysokości.

P. Buczacki stawia wniosek formalny o przeniesienie dalszej dyskusji nad tym wnioskiem po uchwaleniu budżetu. Wniosek przyjęto.

P. Popkowski stawia wniosek, aby na polowaniach zbiorowych i na ptactwo wolno było używać broni co najwyżej dwururowej i dryllingi z wyłączeniem broni brauningowej.

P. Wysocki wyjaśnia, że broni brauningowej jest tylko 9 sztuk, że taka uchwała byłaby nowością nigdzie niepraktykowaną. Możnaby, zdaniem jego, ograniczyć ilość zajęcy, zabieranych do domu, jeśli chodzi o większe szanse broni automatycznej.

P. Sokołowski stawia wniosek, by zostawić brauningową broń, ale zezwolić tylko na ładowanie dwuch naboi.

P. Woltersdorf proponuje pozostawić brauningową broń jeszcze na rok jeden.

P. Leśniewski zapytuje, jak zarząd myśli wybrnąć z tej sytuacji, skoro przewidziany przychód jest mniejszy od wydatków o 2.220 zł.

Przewodniczący stwierdza, że jedno jest tylko źródło pokrycia, t. j. podniesienie składki do 5 zł.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek p. Buczackiego następującej treści:

„Składkę członkowska podnosi się do czterech złotych, z tem, że Zarząd ma prawo podnieść ją do pięciu złotych w razie potrzeby". Wniosek ten Walne Zebranie akceptuje.

Walne Zebranie postanowiło zdjąć z porządku dziennego wyżej wymieniony wniosek p. Malewskiego.

P. Woltersdorf proponuje ponownie wybrać do Zarządu pp.: Buczackiego, Lachowskiego i Wagnera, a na miejsce p. Jaworskiego — p. Witolda Popkowskiego. Ponieważ innych kandydatur nie zgłoszono, wybrani zostali kandydaci, proponowani przez zarząd.

Do Komisji Rewizyjnej na miejsce p. Gnćkowskiego wybrano p. Oskara Kochera.

Zawody strzeleckie.

Ze Strzelnicy Polsk. Tow. Łow. w Warszawie.

Dwudniowe (sobota i niedziela) dnia 28 i 29 listopada, zawody strzeleckie na strzelnicy Pol. Tow. Łowieckiego zgromadziły około 200 zwolenników sportu strzeleckiego. W zawodach na pistolety pierwszą nagrodę zdobył mir. Nussbaum, osiągając rekordową ilość punktów 89 na 100. Wszystkie cztery tarcze dały 321 pkt. Drugie miejsce zdobył p. W. Kołaczkowski — 234 pkt. W konkursie strzeleckim z karabinków, pierwsze miejsce zdobył p. Łaszkiewicz, 4 tarcze — 369 pkt., 2) W. Kołaczkowski 368 pkt., 3) Staniewicz Zb. — 362 pkt., 4) Orski, 5) Jakusz i 6) Jernach. W zawodach o najlepszą tarczę dnia dla nienagrodzonych, nagrodę zdobył J. Pakuła, wybijając 88 pkt. Zwycięzcy nagrodzeni zostali żetonami Pol. Tow. Łowieckiego.

Mimo trudnych warunków materjalnych, jakie przeżywa strzelnica Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, odbywają się tam w dalszym ciągu zawody strzeleckie, których wyniki soboty i niedzieli d. 5 i 6 bm. wypadły następująco. Sobota, konkurs na pistolety przedstawicieli prasy: uczestników 17-tu, zwycięża p. J. Bednarski, punktów 60.

Niedziela, konkurs „Zachęty" o najlepszą tarczę dnia dla nienagrodzonych: w grupie senjorów pierwszy p. Lewański, punktów 87, w grupie junjorów p. Janeczek, punktów 80. Uczestników około 100.

Od Redakcji.

WP. Domaniewski. O zmianie adresu administracja nie wiedziała, a przeto wysyłała pod adresem warszawskim. Obecnie wysyłamy powtórnie. Artykuły, stosownie do życzenia, będą drukowane od Nr. 1-go; w poprzednich była techniczna niemożliwość.

WP. Chabrowski. Potwierdzamy odbiór 2 sum po 80 zł. przez P. K. O.

WP. Patraszewski. Na oba listy damy niezadługo wskazówki fachowe.

Sz. Tow. Nadbużańskie. Rachunek się zgadza. Za r. b. nic się nie należy.

D. O. K. Lublin. Nr. 6 wysłaliśmy.

WP. Pietruszka. Sumę wymienioną otrzymaliśmy przez P. K. O. (Nr. 115). Należy się jeszcze do końca r. b. 4 zł. (cztery).

WP. St. Modzelewski. Fosforan wapna sprzedają wszystkie składy apteczne.

—o— Od dnia 25 listopada do dnia 7 grudnia włącznie, do Redakcji nadesłali listy PP.:

Dnia 25: Druk. Społeczna. Poczta I. Komierowski. Modzelewski. Obarski. Piekarniak. 26: Chabrowski. Inż. Kunet. Tow. Krasnost. 27: Tow. Toruń. Pietruszka. Żoln. Polski. DOK. Lubl. Matador. Tow. Ostrowskie. 28: Starzyński. Druk. Nakład. (2). 1) Łuszczewski. Rohland. Sport. Tow. Płockie. 2) Tow. Lubelskie. 4) Kobylański. Olszyński. Tomaszewski. 7) Zw. Leśników. Strigl. Warszówka. Iosse. Wieniec. Domaniewski. Abramowicz.

Redakcja prosi W. Panów, którzy wysłali listy w czasie powyższym i nie są tu wymienieni, o powtórne napisanie, bo listy ich zapewne zaginęły.

Drobiazgi myśliwskie.

Szczególny sposób wysiadywania jaj. W krainie wiecznych lodów i mrozów, pod 77 stop. szerokości południowej, podróżnicy podbiegunowi znaleźli ptaki, wysiadujące jaja swe — na lodzie. Ptakami temi są wielkie bezlotki, t. zw. pingwiny cesarskie, jedyny okaz ptasiego rodu, który nigdy nie opuszcza tych dalekich niegościnnych okolic.

Aby jednak z jaja wylęgło się pisklę, potrzeba ciepła, mianowicie temperatury krwi, a jajko leżące na lodzie, choćby przykryte ciałem matki, nie osiągnęłoby tej temperatury, w ojczyźnie zaś swojej bezlotki nie znajdują zgoła żadnego materjału do budowy gniazd. Pomimo to umieją sobie radzić, przyroda bowiem wyposażyła je w szczególny przyrząd do wysiadywania jaj. Oto posiadają u do-

łu tułowia, w puszystej skórze, obszerną fałdę, którą mogą ściągać. Samica więc pingwina cesarskiego, znalazłszy zaciszny kącik śród lodowców, tam składa jaja i chwytą je natychmiast w ową fałdę. W ten sposób jaja, otoczone zewsząd jej ciepłem, wylęgają się normalnie.

Co i ile zjadają zwierzęta. W berlińskim ogrodzie zoologicznym, lew zjada codziennie 5—7 kg. surowego mięsa. Inne drapieżniki zadawalają się znacznie mniejszemi racjami. A więc leopard 3 do 4 klg., dziki kot abisyński Mungo, tylko 1 klg., Hyena zjada normalnie 2 i pół klg., szakal do 2 klg., lis 1—1 i pół klg. mięsa surowego. Stosunkowo niewielki apetyt ma wilk, poprzestając na 2 klg. mięsa maksimum. Ogromnie niejednolitym apetytem odznacza się biały niedźwiedź polarny; czasem tylko 2 klg., a czasem aż 4 klg. mięsa. Chleba zwierzę to nie lubi. Wielce urozmaicone jest „menu" małp. Na śniadanie zupa mączna na mleku dobrze osłodzona, a dla niektórych gatunków nawet surowe jaja. Są jednak rodzaje małp, dla których największy przysmak stanowią świeżo bite jaskółki. Szympans jada to samo, co człowiek: mleko, chleb, mięso i dużo owoców. Wszystkie małpy, oprócz śniadania, nie dostają w ciągu dnia nic więcej; korzystają za to z licznych przysmaków rzucanych im przez publiczność. Lew morski jada tyleż, co i król puszczy, jednakże zamiast mięsa — ryby. Antylopy, kozy, owce, lamy i wielbłądy jadają najchętniej trawę, siano, a do tego pewną ilość „sałaty" z buraków cukrowych. Wielbłąd potrzebuje do 15 klg. siana lub 20 klg. trawy codziennie, zakrapiając ją 3—5 kubełkami wody. Wszystkie zaś zwierzęta racicznc, lubią szalenie sól. Nienasyconym jest słoń. Olbrzym ten zjada codziennie 10 kg. buraków, do 8 klg. otrąb, tyleż owsa, 3 bochenki chleba, centnar siana, a do tego 8—12 kubłów wody.

Połów na wieloryby. Współczesny sposób polowania na wieloryby jest wynalazkiem Norwegczyka Swenda Foyna. Polowanie dawnym sposobem, t. j. harpunem, rzucanym z przodu łodzi rybackiej, okazało się bowiem zbyt niebezpiecznem. Potwór często przewracał łodzie i załoga była niejednokrotnie narażona na śmiertelne niebezpieczeństwa. Swend Foyn wykombinował po długich namysłach nowy rodzaj pocisku, który miał być wystrzelony z armaty. Skoro wpadł raz na ten pomysł ulepszył z czasem swój wynalazek, uzupełniając narzędzie, które wybuchało przy zetknięciu się z wielorybem, zabijając potwora na miejscu, lub przynajmniej czyniąc go niezdolnym już do ucieczki, czy też obrony. Wynalazek ten, wkrótce rozpowszechniony, przyniósł spory majątek Foynowi, który ten bardzo szlachetnie zużytkował, budując własnym kosztem kilka szkół zawodowych dla wyszkolenia marynarzy, oraz popierając liczne instytucje dobroczynne.

Znikające zwierzęta. Oprócz znanych szczegółów o żubrach, tur przeszedł już do legendy, jakkolwiek żył jeszcze w Polsce w siedemnastym wieku. Podobnie ma się sprawa z amerykańskimi bizonami. Żyją jeszcze starzy Indianie, którzy widywali stada złożone z kilkudziesięciu tysięcy sztuk, lecz biali zabrali się do trzebienia bizonów. Pod hasłem „jak długo będą bizony, tak długo mnożyć się będą Indianie", masowo tępiono te wspaniałe zwierzęta. Również bóbr europejski należy już dziś do rzadkości, jakkolwiek zamieszkiwał wszystkie wody europejskie, począwszy od Skandynawii, a skończywszy na Uralu. Przed 20 może laty znajdowały się bobry w Niemczech nad rzeką Łaba między Wartenburgiem a Magdeburgiem. Wymownym przykładem wyniszczenia zwierząt są bezbronne foki, które zamieszkiwały wszystkie wody europejskie, a obecnie uchowały się ledwie na północy. W latach 1850—60 słoń morski nie był żadną osobliwością, a dzisiaj należy do zwierząt legendarnych. Wieloryb, niegdyś często spotykany na morzu niemieckiem i północnem staje się coraz większą rzadkością, odkąd zaczęto używać nowożytnych metod polowania. Z przerażającą szybkością giną piękne, podzwrotnikowe zwierzęta, jak antylopy, dzikie kozy, nosorożce, żyrafy, kozy skalne i słonie. Wprawdzie w ostatnich latach rządy europejskie wprowadziły prawa ochronne, ale myśliwi i nowożytna broń sieją spustoszenie w świecie zwierząt. Lwów, panter i tygrysów coraz mniej i w coraz dziksze trzeba się udawać puszcze, aby spotkać się z dziką bestją.

Futra królowej angielskiej. Królowa angielska posiada najwspanialszą na świecie kolekcję futer nietylko takich, które nosi się w zimie, ale różne gatunki, służące do ozdoby wiosennych i letnich toalet. Zbiera ona od lat dwudziestu wszelkie, najrzadsze okazy a kolekcja ma wartość kilkudziesięciu miljonów. Ze wszystkich kolonij angielskich otrzymuje przedziwne skóry zwierzęce. Niektóre z nich używane są do stroju, inne przechowuje się jako unikaty pod szkłem. Królowa nie ma prawie żadnej toalety, nieozdobionej futrem, przyczem okazuje bardzo wiele wytwornego gustu. W zbiorze jej znajduje się wspaniałe futro z soboli, które wdziewa na wielkie uroczystości. Na codzień używa futer z kun lub bobrów. Płaszcz do jazdy samochodem zrobiony jest ze ślicznych lisów syberyjskich. Do polowania wkłada futro z fok, do sportów zimowych posiada harmonizujący ze śniegiem strój z białych lisów. Nie lubi natomiast królewskiego futra, jakiem są gronostaje, i wkłada je tylko wówczas, gdy etykieta bezwzględnie tego wymaga.

Strusie jaja. Od niejakiego czasu hodowla strusi, ulegając kaprysom mody, która nie każe obecnie elegantkom nosić strusich piór, znacznie się obniżyła. Niektórzy wielcy hodowcy w Południowej Afryce postanowili wydać na rzeź większą część swych strusi i zużytkować ich skóre na wyrób damskich pantofelków. Dotychczas 6 tysięcy strusi poszło pod nóż, a mięso ich zostało zużyte na konserwy dla murzynów, pracujących w kopalniach Południowej Afryki. Omlet ze strusich jaj w Południowej Afryce obecnie jest bardzo tani.

Psy w Anglii. Psom stanowczo najlepiej się dzieje w Anglji. Nigdzie na świecie psy nie są otaczane tak troskliwą opieką, nigdzie czystość rasy nie jest tak ściśle przestrzegana, nigdzie nie egzystują tak srogie przepisy, uniemożliwiające mezaljanse małżeńskie pomiędzy członkami psiej arystokracji. Anglicy wychodzą z założenia, że utrzymanie i podatek od ordynarnego kundla wynosi tyleż, co od najlepiej urodzonego i dobrze skoligaconego King Charlesa, lub Aberden Terriera. Ostatni spis psów w Anglii wykazuje, że w samym Londynie, w przeciągu ubiegłych ośmiu lat przybyło ich 50 tys. Doroczne wystawy, urządzane przez rozmaite kluby hodowców, są niezmiernie licznie obsyłane. Rozdawane na nich medale, puhary listy pochwalne i inne nagrody zachęcają hodowce. Naturalnie w całej tej psiej plejadzie liczbowo zajmują pierwsze miejsce psy do polowania par force a więc foxhounds — do polowania na lisy, harriers — do polowania na zające, stag-hounds do polowania na jelenie, oter-hounds do polowania na wydry (setery, pointery, charty i inne sportowce). Pozatem niezliczona ilość i rozmaitość pełnej krwi pokojowców i podwórzowców. Wszystko to dobrze odżywione, wykąpane, wyczesane, zadowolone z życia i swoich panów, pełni swą służbę dokładnie, uczestnicząc w polowaniach lub zabawach anglosasów.

Redaktor: Jan Szteleman. Wydawca: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

DRUKARNIA NAKŁADOWA, WARSZAWA, HORTENSJA Nr 7 TELEFON 218-60